

## Dlaczego Afryka się nie rozwija?

*Adam Leszczyński*

To pytanie zadał mi Joseph, uciekinier z Kongo, którego spotkałem kilka lat temu w Beninie. Czekał na wizę na Zachód. Było mu wszystko jedno, gdzie pojedzie. Mógł jechać nawet do Polski, chociaż nic o niej nie wiedział.

Jego historia była typowa. Studiował na pierwszym roku prawa w uniwersytecie w Goma w Kongu, kiedy miasto zdobyli rebelianci walczący ze starym dyktatorem Mobutu. Żołnierze dokładnie złupili budynki uniwersyteckie. Wyrwali nawet kable ze ścian. Zastrzelili kilku profesorów, podpalili kampus. Joseph uciekł i po długiej podróży przez dżunglę i niezbyt legalnym przejściu kilku granic utknął w Beninie.

– W Kongu mamy wszystko. Dużo deszczu, złoto, diamenty. To dlaczego jest tak źle? Myślę nad tym dużo i ciągle nie wiem - mówił mi Joseph, który już kilka lat wegetował w obozowisku dla uchodźców za grosze otrzymywane od organizacji świadczących pomoc humanitarną.

Od czasu mojej rozmowy z Josephem sporo się w Afryce zmieniło. Wprawdzie nadal Afrykanie są – przeciętnie – biedniejsi i żyją krócej niż u schyłku kolonializmu 40 lat temu, ale kontynent notuje od lat rekordowe tempo wzrostu gospodarczego (5 proc. rocznie), najwyższe od lat 60. Coraz więcej w Afryce jest wyborów (nawet jeśli nie zawsze wolnych), a coraz mniej wojen domowych. Epidemię AIDS, po 20 mln ofiar, udało się w kilku krajach ustabilizować. 1,5 mln Afrykanów dostaje lekarstwa, dzięki którym może w miarę normalnie żyć z wirusem.

Wiadomo, że Afryka – jako jedyny kontynent – nie ma szans na zrealizowanie „celów milenijnych” postawionych przed najbiedniejszymi krajami przez ONZ, które światowi przywódcy zapisali w uchwalonej na początku wieku deklaracji. Wśród nich na pierwszym miejscu znalazło się zobowiązanie do zmniejszenia do 2015 r. o połowę liczby ludzi żyjących za mniej niż dolara dziennie i cierpiących głód. Jest pewne, że w 2015 r. takich nieszczęśników będzie więcej niż obecnie, chyba że wydarzy się cud. Pozostałe cele – dotyczące m.in. równego dostępu płci do edukacji czy zmniejszenia o trzy czwarte liczby kobiet umierających z powodu powikłań poporodowych – również nie zostaną zrealizowane (w 2004 r. rząd brytyjski szacował, że przy obecnym tempie rozwoju kontynentu zostaną osiągnięte odpowiednio w 2147 i 2165 r.)

Jest więc lepiej niż było, ale nadal źle. Dlaczego? Istnieje kilka popularnych wariantów odpowiedzi na to pytanie.

Pierwszy z nich – nazwijmy go „postkolonialnym” – mówi, że odpowiedzialność ponoszą przede wszystkim Europejczycy, których dziełem są granice dzisiejszych państw afrykańskich, ich infrastruktura, kształt gospodarki i formacja elit. Granice niemal wszystkich krajów Afryki dokładnie pokrywają się z granicami europejskich kolonii, narysowanych linijką na mapie podczas konferencji mocarstw w Berlinie w 1885 r. Spadkiem po kolonializmie są takie kraje jak Togo, wąski pasek ziemi o szerokości 40 i długości 500 km, w którym żyje kilkanaście różnych grup etnicznych. To dzięki poparciu Francji w Togo panował przez lat blisko 40 generał-prezydent Gnassingbe Eyadema, którego nieudolne, okrutne i skorumpowane rządy doprowadziły kraj do ruiny.

Ze względu na kolonialne zaszłości większość gospodarek afrykańskich krajów to w języku ekonomistów tzw. monokultury eksportowe – co po polsku znaczy, że zależne są całkowicie od cen jednego eksportowego surowca na rynku światowym. Dziś ceny surowców są wysokie, bo Azja rozwija się dynamicznie i potrzebuje rud metali albo ropy naftowej. Kiedy zapotrzebowanie na surowce spadnie, gospodarki krajów afrykańskich nie będą jednak w stanie rozwijać się samodzielnie. To Afryka już przerabiała w latach 70.: np. Zambię – wielkiego producenta miedzi – długotrwały spadek cen doprowadził do gospodarczego załamania.

Drugi wariant odpowiedzi na pytanie o przyczyny afrykańskich nieszczęść zakłada, że trzeba ich szukać w samych mieszkańcach kontynentu, a dokładniej – w afrykańskich elitach. Chociaż za tym poglądem – nazwijmy go natywistycznym – często kryje się zawołany rasizm, wyjęte z kontekstu przykłady mogą robić wrażenie: wystarczy przywołać obraz Idi Amina, dyktatora Ugandy w latach 70., który podobno trzymał ciała prawdziwych i domniemyanych wrogów w lodówce, a potem je (podobno) zjadał. Mobutu, dyktator Konga, budował luksusowe pałace w dżungli, a w

połowie lat 80. rozpoczął nawet narodowy program podboju kosmosu, wydając na niego z budżetu jednego z najbiedniejszych państw świata dziesiątki milionów dolarów. Na koronację cesarza Republiki Środkowoafrykańskiej Jeana-Bedela Bokassy (na tę okazję państwo przemianowano na Cesarstwo Środkowej Afryki) w 1977 r. wydano jedną trzecią rocznego budżetu kraju. Dziesięć lat później obalony Bokassa siedział w więzieniu w Bangui, stolicy swojego dawnego cesarstwa, oskarżony o morderstwa, tortury i kanibalizm.

Ekscesy afrykańskiej polityki bywały często zbrodnicze, a prawie zawsze groteskowe z punktu widzenia człowieka Zachodu – który o swojej odpowiedzialności za kłopoty nieszczęśliwego kontynentu przypominał sobie nader rzadko. Zachodnią receptą na afrykańskie nieszczęścia był bowiem zawsze import zachodnich instytucji – socjalizm, kapitalizm i demokracja. Afrykańscy przywódcy pierwszego pokolenia – wykształceni na zachodnich uniwersytetach intelektualisci – mieli obsesję szybkiej modernizacji i próbowali ją realizować na wzór ZSRR. Po tych próbach pozostało ogromne zadłużenie zewnętrzne oraz nieliczne kosztowne przemysłowe giganty, takie jak huta aluminium i tama na rzece Wolta w Ghanie. Od lat 80., kiedy stało się jasne, że socjalizm w radzieckim wydaniu zbankrutował, porzucono afrykańską drogę do socjalizmu na rzecz demokracji – przynajmniej formalnie – oraz liberalnej gospodarki. Działa lepiej od socjalizmu, ale też tak sobie: kapitalizm sprzyja wzrostowi gospodarczemu, ale dużo gorzej radzi sobie z dzieleniem jego owoców, więc chociaż elicie żyje się lepiej, to biednym - nie zawsze.

Jest jeszcze trzecia możliwość: że samo pytanie „dlaczego Afryka się nie rozwija”, jest źle postawione. Tak odpowiedział na nie ugandyjski pisarz (mieszkający w Holandii) Moses Isegawa podczas warszawskiego spotkania z czytelnikami kilka lat temu. Błąd w tym pytaniu polega na wąskiej perspektywie, jaką ono zakłada.

– Jeszcze moja babcia mieszkała w wiosce, która była jej całym światem. Jej wnuk mógł skończyć uniwersytet, wydawać książki w Europie i siedzieć tu przed wami – mówił Isegawa. – Czy to nie jest postęp?

**Adam Leszczyński** jest dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, adiunktem w Instytucie Studiów Politycznych PAN, członkiem zespołu „Krytyki Politycznej”.



Tekst powstał w ramach projektu „Patrz i zmieniaj” finansowanego przez Unię Europejską.



Kurs internetowy „Edukacja globalna z klasą” powstał w ramach projektu o tej samej nazwie współfinansowanego w ramach programu polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w 2011 r.